# NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 8·75 Półrocznie kor. 17·50. Rocznie kor. 35. — Do Niemiec: Kwartalnie 9 kor. 50 hal. Półrocznie 19 kor. — hal. Rocznie 38 kor. — hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 10 kor. 50 hal. Półrocznie 21 kor. 10 hal. Rocznie 42 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

**Ceny ogłoszeń:** za wiersz jednoszpaltowy petitowy 40 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżone 56 halerzy.

**Wychodzi każdej soboty.**

REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XII. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 [illegible]

Telefon Nr. 478.

[illegible]

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 31.

Główny skład na Królestwo Polskie: **Władysław Biernacki w Warszawie, Hoża 15.**

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 70 halerzy.

Rok XV. | Kraków, 23 marca 1918 | Nr. 12

# W oczekiwaniu wiosennej ofenzywy.



Spustoszenia spowodowane działaniem pocisków artyleryi włoskiej we włoskiej miejscowości S. Dona. (Woj. Kwat. Pras.).

**Treść numeru:** W dawnej siedzibie wojsk jen. Muśnickiego. — Pokój z Rumunią. — Wyprawa niemiecko-austryacka na Ukrainę. — Pochód Japończyków na Syberyę. — Nowy prezydent m. Krakowa. — Z frontów bojowych i t. d.

# W oczekiwaniu wiosennej ofenzywy.

Front włoski mało budzi obecnie zajęcia. Wynika to stąd, że cała uwaga skierowana jest na zachód, gdzie spodziewają się lada chwila gwałtownej burzy i przypuszczają, iż ona w łonie swem przyniesie rozstrzygnięcie.

Zresztą na froncie włoskim oddawna już nie było walk w większych rozmiarach. Ostatnie karty tego teatru wojny zapisane są wyłącznie płomiennymi znakami ognia zaporowego i przedsięwzięciami wywiadowczemi, którego cel bynajmniej nie tkwi w walce, a znaczenie wcale nie zależy od wyniku starcia, jeno od sumy zebranych przez nie spostrzeżeń.

Niemniej jednakowoż i tutaj zanosi się na poważne zdarzenia. Wiosenne walki dążyć będą do wykrzesania decydujących momentów. Oczywiście Włosi znajdują się w tem położeniu, że im zależeć musi nierównie więcej, niż stronie przeciwnej na tem, by walki dały stanowczy jakiś wynik. Postradali bowiem bardzo znaczny obszar ziemi i staraniem ich będzie przedewszystkiem odzyskać go choćby za cenę bardzo znacznych nawet ofiar. Niewiadomo zresztą, czy nie będą narażeni na dalszy nacisk, a nietylko bezpieczeństwo państwa, lecz także ambicya ich narodowa wiele cierpi na tem, że Wenecya i Padwa ciągle jeszcze są zagrożone. Aby ów stan rzeczy zmienić na swą korzyść, Włosi usilnie dążyć muszą do przedłużenia linii frontu ku północy. Że to zadanie łatwe nie będzie, że wątpliwą jest rzeczą czy wogóle da się dokonać, zbytecznem chyba zapewniać.



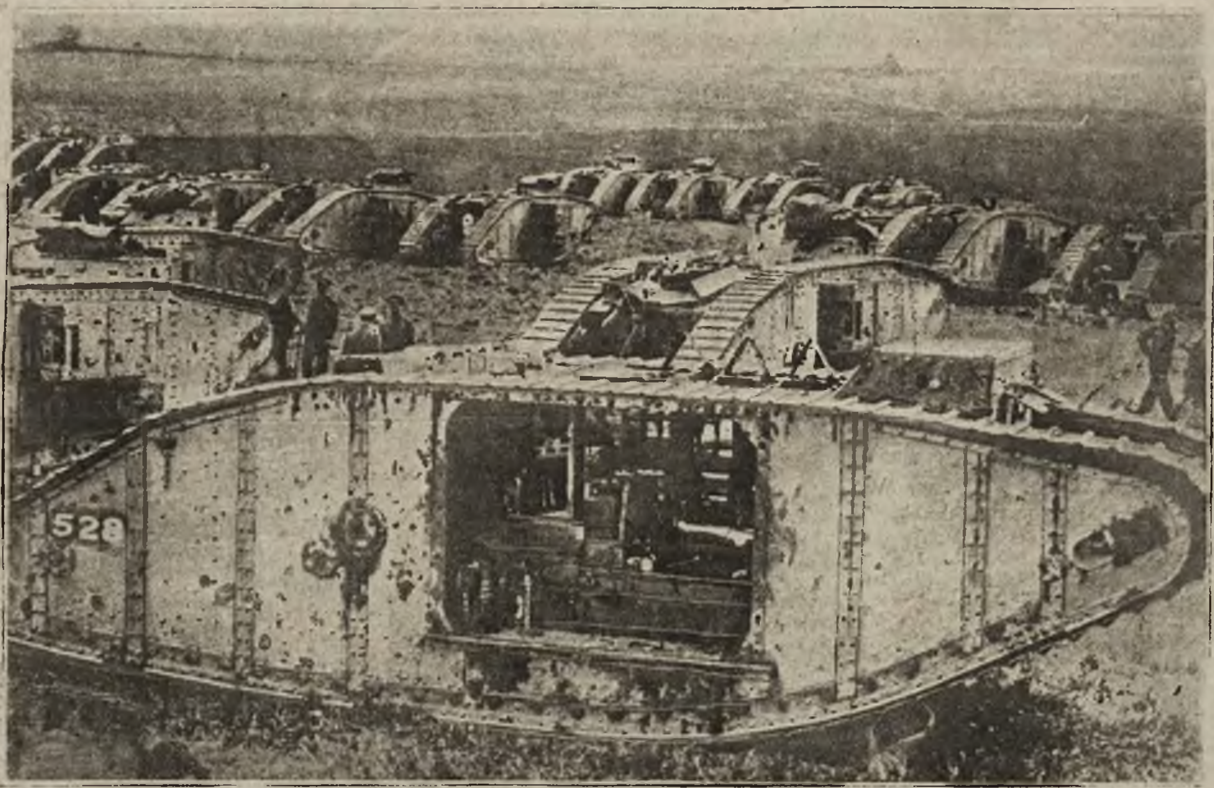
W oczekiwaniu wiosennej ofenzywy: »Powrót uchodźców północno-włoskich do swych siedzib obsadzonych przez wojska austryacko-niemieckie (Woj. kwat. pras.)

Front włoski przebiega częścią przez górskie ostępy, częścią przez równiny. W tej drugiej części rozgranicza stanowiska włoskie i przeciwnika rzeka Piave. Stanowi ona poważną przeszkodę i pospołu z wybudowanemi obwarowaniami daje stosunkowo silną ochronę. Rzecz inna z odcinkiem górskim. W górach Grappa trzymają się Włosi kurczowo swych pozycyi aby nie runąć w przepaść. Na płaskowyżu Asiago leży poza nimi już niewiele terenu. Ów zresztą front górski, pod tępym kątem odchylony od Piave, zagraża flance włoskiej i każdej chwili przynieść może przykre niespodzianki.

W odcinku Grappa szybciej niż na płaskowyżu wkraczać zwykła wiosna, a z nią nastanie znowu możliwość podjęcia większych operacyi. Natomiast w równinie stosunki klimatyczne są tego rodzaju, iż akcya wojenna może się tu rozwijać bez względu na porę roku.

Wszystko to razem wzięte przemawia za prawdopodobieństwem pogłosek, iż dowództwo armii włoskiej nosi się z zamiarem podjęcia energicznych kroków już w dniach najbliższych. Przeciwnika nie zaskoczą one nieprzygotowanego i niespodzianką dlań nie będą.

Na zachodzie czynność wywiadowcza obu stron wzmaga się do tego stopnia, że ostatnie biuletyny niemieckie czynią wrażenie, jakoby toczyły się już wcale znaczne bitwy przy udziale piechoty. Widownią ich te same odcinki, w obrębie których w roku zeszłym szalały bitwy flandryjskie: na północ od Merckem (o 3 klm. na północ od Bixschoote) w okolicy lasu Houthoulster, rozciągającego się na wschód od Merckem, a na północny zachód od Gheluvelt (o 8 klm. na wschod od Ypres), wreszcie na północnym brzegu rzeki Lys, w okolicy Warneton.



Z frontów bojowych: Punkt zborny dla angielskich tanków na zachodnim froncie.



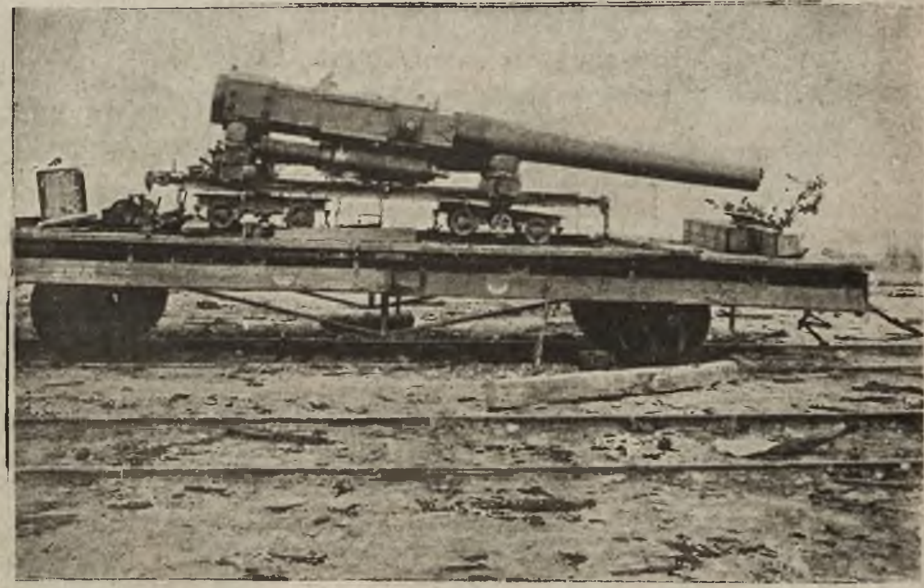
Nowy prezydent miasta Krakowa: Poseł Jan Kanty Federowicz



W oczekiwaniu wiosennej ofenzywy: Ruiny miejscowości Noventa, zburzonej przez Włochów. (Woj. kwat. pras.)



**Z frontów bojowych:** Zniszczony włoskimi pociskami kościół parafialny w Tezze (Woj. kwat. pras.)



**Wyprawa niemiecko-austryacka na Ukrainę:** Pozostawione na Podolu ros. przez uciekające bandy bolszewickie wielkie francuskie działo okrętowe



**Pokój z Rumunią:** Król rumuński Ferdynand I.

## Nowy prezydent miasta Krakowa.

Na opróżnione przez śmierć ś. p. dra Juliusza Lea stanowisko prezydenta miasta Krakowa powołała Rada miejska prawie jednogłośnie dotychczasowego pierwszego wiceprezydenta miasta i posła na Sejm krajowy, Jana Kantego Federowicza.

Prawie jednomyślny wybór nowego kierownika spr. w miejskich każe wnosić, że nowy prezydent cieszy się zaufaniem wszystkich stronnictw i może liczyć na ich współdziałanie. Doskonały znawca stosunków miejscowych, jeden z twórców Wielkiego Krakowa i towarzysz pracy, a w ostatnich czasach i zastępca ś. p. dra Lea, ożywiony jest nowy prezydent najlepszymi chęciami do pracy i głęboką miłością podwawelskiego grodu, która mu doda sił do ciężkiej pracy, jaka go czeka.

Nowy prezydent miasta pochodzi ze znanej krakowskiej tuteiszej rodziny mieszczańskiej. Po ukończeniu szkoły realnej w Krakowie, oraz akademii handlowej w Pradze, odbył dłuższą praktykę zawodową za granicą i w Warszawie. W roku 1882 powrócił do Krakowa i tu jako spólnik swojego ojca, objął kierownictwo znanej firmy składu win.

W r. 1896 wybrany został członkiem Rady m. Krakowa a od r. 1901 jest posłem na Sejm krajowy i to przez kilka kadencyi aż do obecnej chwili. W r. 1908 powołano go na stanowisko wiceprezydenta krak. Izby handlowej, zaś w r. 1912 piastował już urząd prezydenta tej Izby. W roku 1916 został wybrany pierwszym wiceprezydentem miasta.

Prezydent Federowicz prócz powyżej wymienionych godności był jeszcze prezesem „Strzelnicy“, obecnie jest prezesem Tow. Turystycznego, członkiem państwowej kraj. Rady żywnościowej i długoletnim prezesem klubu mieszczańskiego.

W chwili objęcia zaszczytnego, choć bardzo trudnego, zwłaszcza w obecnych czasach stanowiska, towarzyszą nowemu prezydentowi szczere życzenia ogółu Krakowian:

„Ad multos, felicesque annos!“

## Wkroczenie „krakowskich dzieci“ do Seretu.

Z chwilą zawarcia pokoju z Rosyą i Ukrainą nastał na wschodnim froncie zupełny prawie spokój. Wojska rosyjskie opróżniły zajmowane jeszcze wschodnie skrawki Galicyi i Bukowiny, armie mocarstw centralnych przekroczyły zaś w kilku miejscach granice.

W ślad za ustępującemi wojskami rosyjskiemi postępowała armia sprzymierzonych. Na terytoryum galicyjskiem i bukowińskiem obsadziły wojska austryackie opróżnione przez Rosyan miejscowości. Między innemi zajęto i Seret na Bukowinie, a jednym z pierwszych pułków, który wkroczył do miasta, była znana Czytelnikom „szesnastka“ strzelców, czyli pułk „krakowskich dzieci“.

Ludność miejscowa, która wiele ucierpiała w czasie kilkoletnich rządów knuta, witała zbawców owacyjnie.



**Pokój z Rumunią:** Klatka schodowa w pałacu królewskim Cotroceni w którym odbywały się pertraktacye pokojowe z Rumunią (Woj. kwat. pras.)





**Wkroczenie krakowskich dzieci" do Seretu:**

Burmistrz miasta wita przemową wkraczające w dniu 7 marca br. wojska austryackie.

Po ukończeniu powitania wznosi jenerał Böltz okrzyk na cześć cesarza.

# Pokój z Rumunią.

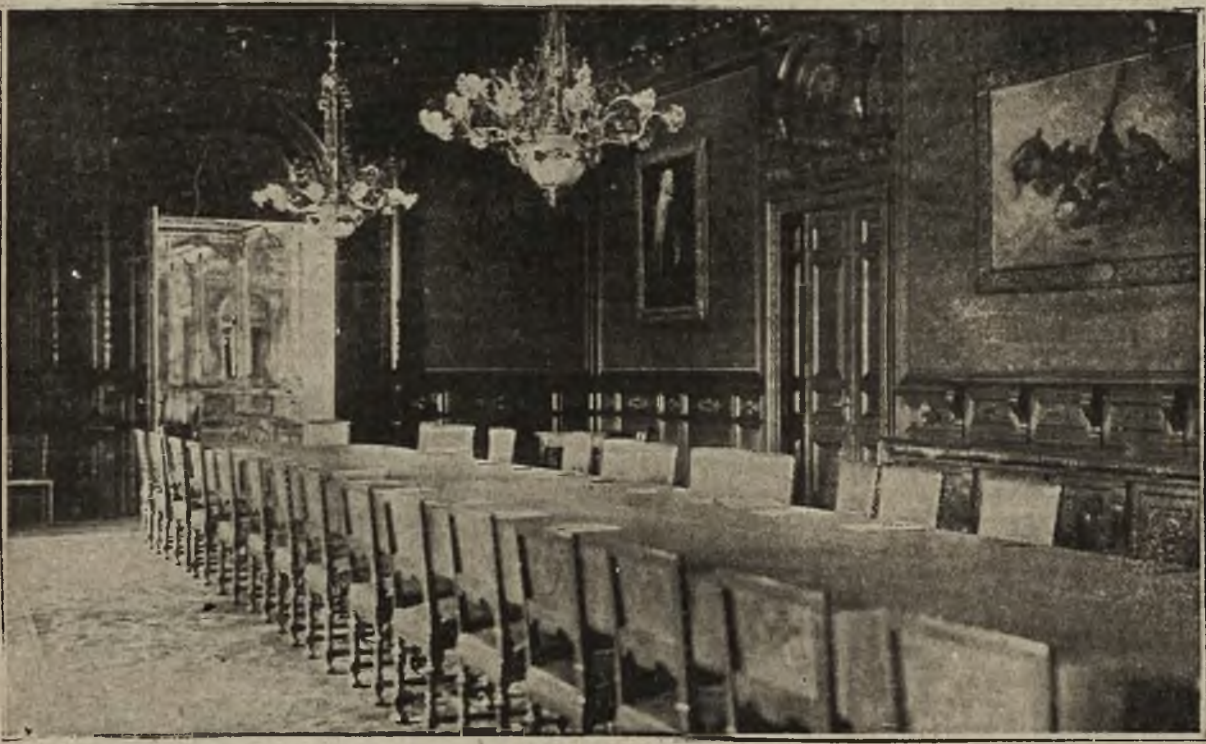
Po klęsce Rosyi, przyszła kolej na Rumunię, która, opuszczona przez swych sprzymierzeńców, musiała przyjąć podyktowany jej przez zwycięzców pokój. Podpisane w d. 5 b. m. preliminarya pokojowe zawierają następujące warunki:

Rumunia odstępuje sprzymierzonym państwom Dobrudzę do Dunaju, akceptuje zasadnicze sprostowanie granicy austro węgiersko rumuńskiej, żądane przez Austro Węgry, przyznaje zasadniczo odpowiednio do sytuacyi zarządzenia na polu gospodarczem, zobowiązuje się natychmiast przynajmniej 8 dywizyi zdemobilizować, przyczem demobilizacya ma się odbyć pod kierunkiem jen. Mackensena, jakoteż wszelkimi siłami popierać techniczny i kolejowy transport wojsk sprzymierzonych przez Mołdawię i Besarabię do Odesy.

Już te wstepne punkty, na które Rumunia musiała zgodzić się, przystępując do toczących się obecnie szczegółowych rokowań pokojowych, świadczą, że traktat pokojowy oddaje Rumunię na łaskę i niełaskę państw centralnych, które otrzymują ważne korzyści polityczne i gospodarcze. Przedewszystkiem mocarstwa centralne mają odtąd zupełnie wolną rękę na Bałkanach, co im pozwoli, po pozostawieniu odpowiednich sił na froncie macedońskim, użyć armię, zajętą dotychczas w Rumunii, na innym terenie wojny. Powtóre, wodna droga przez Dunaj do morza Czarnego staje się swobodną dla ewentualnego przewozu zapasów z południowej Rosyi. Jest to wprawdzie szlak długi i zależny od zmian atmosferycznych, ale najdogodniejszy i najtańszy dla pro-



Pokój z Rumunią. "Złota sala" w pałacu królewskim Cotroceni, miejsce obrad austryackiej delegacyi pokojowej. (Woj. kwat. pras.)



Pokój z Rumunią: Sala jadalna w zamku królewskim Cotroceni, miejsce obrad delegacyi pokojowej (W. k. p.)

duktów masowych, jak mąka, zboże, drzewo i t. p. Nie odrazu będzie można z niego korzystać, ale najbliższe zbiory Besarabii i Rumunii już prawdopodobnie Dunajem zostaną spławione do środkowej Europy. Oprócz tego pozostaje jeszcze linia kolejowa łącząca Kronsztad w Siedmiogrodzie z Bukaresztem i Constancą, która dla pospiesznych przesyłek jest nieoceniona. Jeżeli stosunki w południowej Rosyi ułożą się do jakiejś normy, port w Constancy posłuży dla przewozu stamtąd zboża koleją do Wiednia i Berlina. Są to perspektywy odleglejsze, które gwarantują państwom centralnym spokojne przetrwanie następnego roku.

Główne jednak owoce zwycięstwa zbierze Bułgarya, która rozszerza swoje posiadłości aż do ujścia Dunaju, i może przystąpić do częściowej demobilizacyi swojej armii, znużonej i zdziesiątkowanej trzema szybko po sobie następującemi wojnami. Wojna dla niej jest właściwie ukończona, a jedynem jej zadaniem będzie teraz czuwać nad bezpieczeństwem Macedonii, gdzie gromadzą się nowe chmury wskutek coraz prawdopodobniejszego wystąpienia Grecyi po stronie koalicyi.

Los Rumunii jest prawdziwie tragiczny. Nie tylko traci dostęp do morza, ale musi poddać się z góry sprostowaniu granicy, które Austro Węgry dopiero później określą. Karpaty, które ją tak skutecznie zasłaniały przed inwazyami z zachodu przestaną już być wałem ochronnym, który pozwalał Rumunii swobodnie rozwijać swój byt polityczny i ekonomiczny.

Traktat pokojowy, nad szczegółami którego odbywają się obecnie dalsze rokowania, nabiera szczególniejszego oświetlenia, jeśli się go porówna z tem wyjątkowo korzystnem położeniem, w jakiem znajdowała się Rumunia na początku wojny.

Jeszcze przed wojną, po traktacie bukaresztefiskim 1913 r. Rumunia wysunęła się na czoło państw bałkańskich i była niejako rozjemcą w sporach, toczących się pomiędzy Serbią, Bułgaryą i Grecyą. Nie ucierpiawszy od kampanii tureckiej, która tak podkopała siły Serbii i Bułgaryi, Rumunia cieszyła się nadzwyczajną pomyślnością ekonomiczną, a wojna europejska przyniosła jej nowe, nieoczekiwane żniwo. Zarobki rumuńskiego rolnictwa były nie milionowe, ale miliardowe, a mocarstwa centralne zostały zmuszone ubiegać się o względy Rumunii i wypraszać od niej zboże, za które płaciły wyjątkowe ceny.

Wszystkie te korzyści przepadły w dniu wypowiedzenia wojny Austryi, tem bardziej, że pomimo pomocy, udzielonej przez Rosyę, Rumunia wojnę musiała przegrać, gdyż rozpoczęła ją nie w porę i nie była do niej przygotowana. Obecnie przechodzi Rumunia pod protektorat państw centralnych, a jednym z najbardziej upokarzających warunków pokoju jest oddanie Mackensenowi głównego kierunku demobilizacyi jej armii. Niepewnym jest również los dynastyi, chociaż pod tym względem czwórprzymierze nie będzie zapewne wywierać silniejszego nacisku.



Pokój z Rumunią: Przybycie rumuńskich delegatów pokojowych na zamek Cotroceni. (Woj. kwat. pras.)

**Adam Wiaryga-Minieski.**

# MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

41

— Ta przeżegnajże się panna lewą ręką!... Rozum odchodzi cię czy co?!

Józia nie odpowiada teraz już nic. Dyszy tylko głośno i ciężko. Głowa chyli się niżej, coraz niżej i wreszcie zwisa bezwładnie na ramieniu Migdałowej.

— O! Rany Boskie!... — wrzasnęła kobieta — taż ona chora!... gorączka aż pali... A dyabli nadali z takim interesem!.. Taki szczerozłoty pan i masz!... Pani Błażejowa!... pani Błażejowa!... A chodźże tu pani — bo ta umiera czy co!...

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Radca-emeryt z trudem odszukał odrapaną kamieniczkę, w której mieszkała Józia Żarnicka. Napróżno przez kilka minut przyciskał palcem guzik dzwonka.

Nikt się nie zjawiał — bo dzwonek był zepsuty, o czem radca oczywiście nie mógł wiedzieć.

Jakiś drab o zapuchniętej twarzy i ponurem wejrzeniu przeszedł przez bramę, spoglądając na staruszka z podełba podejrzliwie.

Ohydne wyziewy biły z podwórka, z ciemnych jak czeluście sionek.

Radca wzdrygnął się.

— Boże Wielki!... i to ona tutaj mieszka — takie delikatne, słodkie stworzenie!... Że też nie wybrałem się wcześniej...

Radca od dnia, kiedy się dowiedział o wydaleniu Józi z cukierni Musiałków, postanowił sobie odszukać młodą kobietę, dla której powziął silną sympatyę i współczucie.

Domyślał się, że zapewne potrzebuje pomocy i że przy swojej niezaradności i widocznym braku wyrobienia życiowego może się z łatwością znaleźć w rozpaczliwem położeniu na bruku lwowskim.

Codziennie prawie wybierał się na policyę, aby się dowiedzieć, jaki jest adres Józi, ale i codzień odkładał to na jutro... Tak jakoś schodziło... To to, to owo zawsze weszło w drogę...

— Już jutro.. jutro napewno... — mówił sobie co ranka.

Nareszcie znalazł wolną chwilę czasu, poszedł na policyę, dowiedział się adresu i odszukał.

Po kilkakrotnych nieudałych próbach dzwonienia zaczął oglądać się za mieszkaniem stróża. Dojrzał wkońcu napis skreślony koszlawemi literami: „Dozorca domu“.

Pchnął drzwi. Z wnętrza owionął go opar gorącej wody i zaduch brudnej bielizny. Z mgieł wilgotnej pary wynurzyła się Błażejowa z mokremi od mydlin rękoma.

— Czy to wy jesteście stróżką?

— A ja. A czego? — zapytała burkliwie, ocierając ręce w brudny fartuch.

— Czy tutaj mieszka Józefa Żarnicka?

— A mieszkała, o! tam w tej „suterynię“, ale już nie mieszka.

— Wyprowadziła się? Dawno?

— No wyprowadziła, jak wyprowadziła... Zabrali ją.

— Jakto zabrali?! Kto?! Gdzie?!

— A „karytką“ do szpitala — objaśniała Błażejowa.

Do szpitala?! Więc zachorowała?

— Jeszcze jak!... Gorąco od niej buchało, jak z pieca, a oczy to miała całkiem przewrócone i coś ta gadała od rzeczy... Mnie się widzi, że ona na księżą oborę patrzy.

Radca przesunął ręką po czole. Zrobiło mu się dziwnie niewyraźnie koło serca. Milczał.

Stróżka przyglądała mu się ciekawie.

— O! zabiedowała się... — zauważyła.

— To ona taką biedę cierpiała? — szepnął staruszek.

— O! Rany Boskie!... W gębę włożyć co nie miała!... Z łachów to się na „glanc“ wysprzedała... A pan może z „famielii“ co?

Nie czekając odpowiedzi, dalej mówiła:

— Szkoda, że się pan nie pospieszył. bo tera, to kto wie, czy z niej co jeszcze będzie... Co się to namęczyło!... Widać było, że pańskiego rodu, a do najprostszej roboty godzić się chciało!... Ino ktoby ją brał, kiedy chuchro było takie.

— Tak... tak...

— Honornie się trzymała, ani słowa... Na złe, choć namawiali, puścić się nie chciała... Ja też jej, jak mogłam „dospomogałam“. Po prawdzie — dodała zerkając z pod oka na siwego pana — to mi jeszcze pięć koron winna została...

Radca zrozumiał przymówkę i sięgnął do kieszeni:

— Macie tutaj... Płacę ten dług — rzekł, podając babie banknot dziesięciokoronowy.

— Dziękuję panu. Zaraz dam reśtę.

— Nie trzeba.

— Całuję rączki, padam do nóżek wielmożnemu panu — zawołała uradowana.

Radca wyszedł na ulicę, jak odurzony. Pierwszej spotkanej dorożce kazał się wieźć do szpitala.

ROZDZIAŁ XX.

Panna Antonina Korzewska, ubrana w staromodną szubę z barankowym kołnierzem i czarny kapelusz, wiązany pod brodą na wielką kokardę, wyszła przed krakowski dworzec kolei, dźwigając sporą walizkę.

— Fiakier! — zawołała energicznie.

Ten i ów z dorożkarzy obrzucił przelotnem, krytycznem spojrzeniem pannę Antoninę i jej pakunek. Żaden nie podjechał. Pasażerów było dość i to zamożniej wyglądających, niż panna Korzewska w swojem skromnem, niemodnem ubraniu.

— Fiakier — krzyknęła jeszcze głośniej i jeszcze energiczniej. ale również bez skutku.

Dorożki odjeżdżały jedna za drugą. Pozostał wkońcu tylko jakiś młokos, powożący starą, dychawiczną, iście po wojennemu wychudzoną szkapą.

— Wolny?...

— A gdzie pani chce jechać?

Panna Antonina wymieniła ulicę.

— Da pani pięć koron i płaci się z góry.

— Co to, kpiny?! A to bezczelność!

— Taniej nie pojadę.

— Ja znam taksę!

— To niechże se pani taksą pojedzie... czemu nie?...

Panna Antonina, która postawiła już nogę na stopniu, cofnęła się i pąsowa z gniewu, jęła krzyczeć:

— Ja cię nauczę, smarkaczu jakiś!... Na policyę skargę podam!... ja ci pokażę!...

— Ojej! co mi pani ma pokazywać!... ja ta nie ciekawy na takie widoki... — brzmiała flegmatyczna odpowiedź — Dorożkarz podciął konia batem i podjechał ku jakiemuś panu w szarej świtce.

Walizka była dość ciężka. więc panna Korzewska, widząc, że nie dostanie dorożki, zaczęła się oglądać za kimś, ktoby jej odniósł pakunek.

Kilku bardzo młodocianych amatorów zarobku otoczyło ją.

— Ja pani zaniosę.. — ofiarował się jeden.

— Ja zaniosę... A daleko to? — pytał przezornie drugi.

Oddała walizkę temu, który proponował pierwszy swoje usługi.

— Chodź za mną.

— A trzy koronki zarobię? — zagadnął chłopiec, nie ruszając się z miejsca.

Ognie znowu uderzyły do twarzy starej panny.

— Czyś zwaryował smyku jeden?! Czyście wy wszyscy tutaj powaryowali?! Za taki kawałek drogi?! Trzy szóstki dostaniesz!

Chłopak momentalnie postawił walizkę, a raczej rzucił ją na błotnisty bruk.

— Trzy szóstki!... Mogę pani jeszcze dołożyć koronę!.. Do chrzanu z takim zarobkiem! rozumie pani...

Odwrócił się pogardliwie. Towarzysze jego rozpierzchli się, pozostał jedynie jakiś rudy, piegowaty wyrostek.

— No, ja tańszy... Da pani dwie korony, to zaniosę...

— Nic nie dam!... Wynoś się hultaju!... Wolę sama nieść, niż dać się obdzierać takim łajdakom...

Zatrzymując się często i postękując niekiedy, doniosła. jednak sama swoją walizkę do mieszkania Maliniewiczów.

Otworzyła jej drzwi służąca, młoda dziewczyna z grzywką, w pretensyonalne loczki zakręconą.

— Państwo w domu?

— Państwo śpią.

— Śpią jeszcze?! O tej godzinie?!... Także coś!... — zamruczała — No to obudź ich i powiedz panu, że przyjechała panna Korzewska.

— Dobrze proszę pani — odparła dziewczyna, lustrując przybyłą krytycznie od stóp do głowy.

Panna Antonina czekała prawie pół godziny w jadalnym pokoju, zanim się pojawił Maliniewicz zaspany jeszcze, nieumyty, nieuczesany w szlafroku i pantoflach.

Przywitał kuzynkę pytaniem:

— A! Antosia... Skądeś się wzięła?...

— Jakto skąd? Koleją rozumie się przyjechałam, przecie nie z ziemi wyrosłam, ani z nieba spadłam... No, ale wy widać lubicie długo sypiać, a to jest niezdrowo!... Gdzież twoja żona...

— O! Idzie już... Adelko, to kuzynka moja, Antosia Korzewska...

Kobiety podały sobie ręce dość chłodno, mierząc się wzajemnie nieufnym wzrokiem. Poczuły do siebie, na pierwszy rzut oka, coś jakby antypatyę.

— Obrzydliwe, złe stare pannisko!... — pomyślała Maliniewiczowa.

Wymalowana. złośliwa małpa! — zadecydowała w duchu stara panna.

Podano śniadanie. które pannie Korzewskiej, przywykłej do skromnego „wojennego“ wiktu, wydało się aż nadto wystawnem.

Nie podobał się jej elegancki ranny strój pani domu.

— Ona chyba nic nie robi — myślała, — że się od rana stroi we wstążki i koronki... Miał też sobie wybrać... Biedne dziecil...

— Kuzynka na długo? — zapytała Maliniewiczowa, przyglądając się gościowi z niedbałem przymrużeniem oczu.

— To będzie zależało...

Maliniewicz wtrącił jakiś zdawkowy frazes, panna Antonina coś odbąknęła, ale rozmowa nie kleiła się.

W końcu panna Antonina zapytała o swoją ulubienicę Kazię.

— Kazia jest w klasztornym pensyonacie — uczy się doskonale...

— Tylko, że ta nauka bardzo słono kosztuje — zauważyła żona.

Maliniewicz nachmurzył się jakoś i z pewnem niezadowoleniem spojrzał na żonę.

Panna Antonina zaczerwieniła się nagle, jak to zwykle bywało kiedy się w niej budził gniew.

— Przecież ma prawo do porządnego wykształcenia — powiedziała szorstkim tonem — takie dobre, zdolne dziecko!... Toż grzech byłby, żeby ja zaniedbać!...

— Moja Antosiu...

— Pani zapomina, że czasy są ciężkie!...

— Ale obowiązki względem dzieci pozostają obowiązkami!... Zwłaszcza — dorzuciła z niezbyt wielkim taktem panna Korzewska — że matka miała przecież swój majątek, a Józia... no Józia... ta już nie wiele z tego korzystała...

Maliniewicz gniewnie sfałdował czoło, zielone oczy jego żony błysnęły.

Zapanowała chwila przykrej ciszy, którą przerwała pierwsza panna Antonina. Przełknąwszy ostatni łyk kawy, odsunęła nieco filiżankę i rzekła:

— Właściwie to ja przyjechałam w sprawie Józi...

Maliniewicz poruszył się niespokojnie. „Pieniędzy chce“ mignęła mu myśl i zaraz za nią druga: „nie dam!“.

— Cóż ona robi? — zapytał obojętnie.

— Jakto. mnie pytasz, co ona robi?! Ja właśnie chcę się od was dowiedzieć, co ona robi sama we Lwowie...

— We Lwowie?!

— No pewnie, że jak mówię we Lwowie — to nie na Marsie!...

Maliniewiczowie spojrzeli zdumieni po sobie. Radczyni prędzej niż mąż ochłonęła ze zdziwienia i ze złośliwymi ognikami w oczach zaczęła pytać:

— Więc Józia nie jest u pani?

— Skądże!...

— Nie była wcale?

— Anim jej na oczy nie widziała!... Alboż miała do mnie przyjechać?...

Maliniewicz grzmotnął pięścią w stół.

— A to skandal! To szelma! I poco ja jej pieniądze dawałem!

— O co chodzi? Wytłomaczcież mi, bo nic nie rozumiem.

— Więc pani nie wie o niczem? — pytała Maliniewiczowa, której teraz już i oczy i usta i cała twarz śmiały się złośliwością.

— Ależ o czem, na Boga!

— No o tem, że Józia uciekła od męża!

(Ciąg dalszy nastąpi.)



**W dawnej siedzibie wojsk jenerała Muśnickiego:** Kościół i pałac gubernatora w Mińsku (Fot. Bufa)






**W dawnej siedzibie wojsk jenerała Muśnickiego:** Ruch uliczny w Mińsku po wkroczeniu Niemców. (Fot. Bufa)

# W dawnej siedzibie wojsk jenerała Muśnickiego.

Starożytna stolica województwa Mińskiego przechodziła w obecnej wojnie bardzo zmienne losy. W Mińsku, po wybuchu rewolucyi rosyjskiej, szalały przez czas dłuższy rabunkowe orgie bolszewików. Stosunki panowały tam wprost okropne. Władze bolszewickie zarekwirowały na swój użytek najpiękniejsze gmachy, wszystkie hotele i restauracye, w których koncentrowały się też sztaby bolszewickich wojsk, przyczem byli proletaryusze bawili się z doświadczeniem długoletnich hulaków. Ludność miasta żyła ciągle pod strachem napadów i rabunków, wydana na łup hulającego żołdactwa. Również i okolice miasta zostały obrabowane i zniszczone przez grasujące bandy bolszewickie.

Tym nieznośnym stosunkom położyła wreszcie kres armia polska. Mińsk został zajęty przez korpus jen. Muśnickiego. Ziemia mińska uwolniła się z pod teroru bolszewickiego, a sam Mińsk stał się siedzibą głównej kwatery operujących samodzielnie wojsk polskich, które rychło przywróciły w mieście ład i spokój i zapewniły mieszkańcom bezpieczeństwo. Wkrótce też Mińsk stał się ogniskiem polskiego ruchu zbrojnego. Tam formowano nowe oddziały polskie, stamtąd też wyruszały ekspedycye do sąsiednich powiatów dla ochrony polskiej ludności przed bandami bolszewickiemi.

Nie długo jednak trwały te polskie rządy w stolicy ziemi mińskiej. Rozpoczęty po zerwaniu rokowań z Rosyą pochód Niemców na wschód zmienił sytuacyę armii polskiej. Jen. Muśnicki, z jednej strony otoczony przez bolszewickie wojska, a z drugiej mając po za sobą maszerującą na wschód armię niemiecką, zawarł z Niemcami układ, na mocy którego wojska polskie zachowały wprawdzie samodzielność w pozostawionych im kilku powiatach, musiały jednak opróżnić Mińsk, który zajęły wojska niemieckie.

Mińsk, jak świadczą zamieszczone fotografie, posiada wiele pięknych budowli. Położony nad rzeką Swisłoczą, dopływem Berezyny, odegrał ważną rolę w dziejach Polski. Wspomniany w historyi po raz pierwszy w r. 1067 został na początku XII wieku stolicą udzielnego księstwa. Na sejmie horodelskim 1413 r. utworzono województwo mińskie. Spalony w r. 1505 przez Tatarów w trzy lata potem był Mińsk oblegany bezskutecznie przez Michała Glińskiego. Zygmunt August przyczynił się znacznie do wzrostu miasta potwierdziwszy w r. 1569 nadane mu dawniej prawa magdeburskie. W r. 1655 Tatarzy znowu Mińsk zrabowali, w połowie spalili, a wielką część mieszkańców wycięli. Mimo to jednak miasto jeszcze się podźwignęło. Przybyła mu znaczna liczba kościołów i zgromadzeń zakonnych, między innemi w r. 1657 Jezuici. W r. 1706 stały tam przez kilka miesięcy wojska rosyjskie. Wkrótce potem wybuchła zaraza, a po niej Wołochowie, w służbie szwedzkiej zostający, złupili mieszczan, a po tych znowu Kałmucy i Tatarzy zrabowali całe miasto. Mimo tych klęsk miasto podniosło się jeszcze i przybyło mu kilka kościołów. Ustawą sejmową z d. 3 Maja 1791 r. ustanowiono w Mińsku sąd wyższy apelacyjny, do którego miały należeć województwa: Mińskie, Połockie i Witebskie. Wreszcie w r. 1793 został Mińsk zabrany przez Rosyę.



**Wyprawa niemiecko-austryacka na Ukrainę:** Przemarsz wojsk austryackich przez wieś.
(Woj. kwat. pras.)

# Wyprawa niemiecko-austryacka na Ukrainę.

Wojska sprzymierzone, operujące na Ukrainie, jak donoszą ostatnie komunikaty, zajęły już Odessę. Wyprawa niemiecko austryacka dotarła więc już do morza Czarnego, co jest niewątpliwie wydarzeniem politycznem nie małej doniosłości. Jest to pośpiech niezwykły, jeśli się zważy, że roztopy wiosenne, które się już zaczęły na całej przestrzeni pomiędzy Dnieprem i Dniestrem, utrudniają operacye tam podjęte i stanowiłyby nawet poważne niebezpieczeństwo dla oddziałów tak bardzo oddalonych od swoich punktów oparcia, gdyby w Rosyi istniała jakaś zorganizowana siła i jakaś armia, zdolna do działań wojennych. Ale wojska sprzymierzone napotykały dotychczas tylko bandy rabusiów, które łatwo rozpędzały i zapewne nie natrafią nigdzie na silniejszy opór.

Rzeczywiste zetknięcie się z t. zw. Ukrainą pozwoliło rządom obu państw ocenić realniej położenie ekonomiczne i stosunki aprowizacyjne tego kraju. Od pewnego czasu daje się też zauważyć znaczne otrzeźwienie co do zasobów ukraińskich, które na podstawie traktatu brzeskiego miały się dostać Europie środkowej. Jeszcze niedawno zapewniano półurzędownie, że zboże ukraińskie już w najkrótszym czasie obficie napływać będzie i że wobec tego niema obaw o wyżywienie ludności, a teraz najbardziej optymistyczne przewidywania wyznaczają koniec czerwca i lipiec jako najbliższy termin, w którym można oczekiwać transportów z Ukrainy. I ten termin jest cokolwiek przedwczesny, gdyż trudności komunikacyjne są tak olbrzymie, że ich częściowe usunięcie zajmie kilka miesięcy czasu. Zresztą już teraz wiadomo, że nadwyżka ukraińskich zapasów jest stosunkowo nieznaczna, a musi przedewszystkiem posłużyć do wyżywienia miast tamtejszych, które są równie wygłodzone, jak nasze. Na Wołyniu zboża jest wogóle niewiele; tyle, ile potrzeba dla miejscowej ludności. Na Podolu i Ukrainie grabieże band bolszewickich i chłopów zniszczyły rezerwy tych prowincyi, przeznaczone na wywóz. Jak to z góry przewidywali ludzie, znający prawdziwy stan rzeczy, zboże znajduje się tam już tylko u chłopów,




**W dawnej siedzibie wojsk jenerała Maśnickiego:** Żołnierze rosyjscy na placu targowym w Mińsku wyprzedają swą chudobę (Fot Bufa)



**Wyprawa niemiecko-austryacka na Ukrainę:** Gotowanie obiadu w spalonej przez bolszewików wsi. (Woj kwat. pras)

Jednym z głównych powodów rozczarowania, jakiego doznały mocarstwa centralne, jest zniszczenie większej własności, dokonane na Ukrainie, w myśl bolszewickich haseł. Chłopi, podnieceni przez agitatorów i nierozważnie rzucony w masy pomysł podziału gruntów, nietylko zagarnęli ziemię, nie czekając na uchwały konstytuanty, ale rozgrabili i poniszczyli folwarki, uniemożliwiając normalną uprawę roli. Straty poniesione przez te dzikie napady są ogromne i rolnictwo ukraińskie nie prędko podniesie się po tej pseudoreformie. Według teoryi bolszewickich, grunta miały przejść w posiadanie komitetów rolnych, jako wspólna własność gmin wiejskich, a zamiast tego zostały zagrabione przez włościan, bez żadnego planu, samowolnie, dla uskutecznienia późniei podziału pomiędzy mieszkańców każdej wioski. Ukazy bolszewickie i manifesty Rady ukraińskiej dążyły do upaństwowienia obszarów dworskich; chłopi zabrali je na swój prywatny użytek, nie pytając nikogo o pozwolenie i nie troszcząc się wcale o bezrolnych, którzy w pierwszej linii mieli korzystać z wywłaszczenia. Wytworzył się zatem stan bezprawny, który doprowadził rolnictwo tego bogatego kraju do zupełnej ruiny.

A dodać tu jeszcze należy, że bolszewiccy apostołowie wolności, którzy mieli uszczęśliwić Rosyę pokojem, nie tylko zniszczyli większą własność ziemską, ale wogóle cały kraj wydali na łup najstraszniejszej w dziejach wojny domowej, pastwą której padły nie tylko dwory, ale całe wsie i miasteczka. Zdemoralizowane oddziały wojsk bolszewickich, uciekające w popłochu przed wojskami nieprzyjacielskiemi, odnosiły zato zwycięstwa nad „kontrrewolucyą", t. j spokojną ludnością, która nie chciała brać udziału w bolszewickich napach i rabunkach.

Ten plon propagandy „pokojowej" i „wolnościowej" bolszewików na Ukrainie przedstawiają dwie z zamieszczonych w dzisiejszym numerze fotografie. Na jednej widzimy miasteczko, spalone doszczętnie przez wojska bolszewickie, na drugiej — włościanki, gotujące strawę wśród zgliszcz spalonej przez bolszewików wsi...



**Wyprawa niemiecko-austryacka na Ukrainę:** Jedna z osad na Ukrainie, zburzona i spalona przez bandę bolszewików. (Woj. kwat. pras)

**Piotr Zaccone**

# Tragiczna noc

**Tłumaczyła z francuskiego: Marya Segeny.**

17

Jest tu hałas, ruch, chaos, życie.

To jest dzień.

Ale oto dwunasta godzina wybiła już na wszystkich zegarach miasta. Słychać trzask zamykanych sklepów, ciągnących się wydłużoną linią pod murami kamienic, tłum się rozbiegł za poszukiwaniem rozrywek gwar się zmniejsza, przechodnie stają się rzadsi, wszystko zapada w przedziwną jakąś ciszę, pełną tajemniczych drgań i szeptów.

Oto noc!

Gdzieś w oddali zabłyśnie jeszcze migotliwe światełko w oknie szczytowej mansardy, czasem dobiegnie stuk młota zapóźnionego robotnika.

Ale miasto ani nie widzi ani nie słyszy już nic. Sen jego niespokojny jest, a jednakże głęboki. Zapada się w sobie, drętwieje, nie należy do świata żywego. Miasto zamarło dla ruchu i życia.

Wybija godzina pierwsza.

Godzina fatalna i posępna.

Godzina rozpusty, gry i zbrodni.

W tej chwili Paryż cały jest własnością złodziei i zbrodniarzy, ci zaś własnością policyi. Pozornie jednak niktby tego nie odgadł, bo Paryż to miasto kontrastów; zanikają tu różnice warstw społecznych, żebrak ociera się o bogacza, jednakowy, banalny typ domów ukrywa nierówności socyalne, bo nawet w najbogatszych domach, wystawionych według wszystkich wymagań nowoczesnej kultury, znajdą się przyciemnione sutereny niedaleko błyszczących, wytwornych salonów, żyje tu zbytek, lekkomyślność, i nędza najskrajniejsza.

Jednakże pewne dzielnice zachowują swoją odrębną cechę, której napróżno szukanoby gdzieindziej.

Są to ostatnie, zamierające oznaki starego Paryża, które wzrastająca codziennie fala kultury i cywilizacyi zmywa pomału, lecz wegetują one jeszcze i tworzą jedyny w swoim rodzaju obraz illustrujący noce paryskie.

Jedną z osobliwości nocy Paryża jest niezaprzeczenie dzielnica Halle, której przedsiębiorstwa i sklepy, nigdy niezamykane, dają przytułek pewnej warstwie publiczności nadzwyczaj mieszanej. Spotyka się tu eleganckiego pana w towarzystwie robotnika w bluzie, słyszy się dosadny i oryginalny dyalekt języka, a pojęcia o wolności osobistej dojść mogłyby tutaj do ostatecznej krańcowości, gdyby nie argusowe oczy policyi, śledzące bezustannie ten światek odrębny. Spokojny, zrównoważony mieszczuch niema nawet pojęcia o jego istnieniu.

Noce w Hallach rzeczywiście nie są pozbawione ciekawych motywów.

W parterowych ubikacyach obszernego domu mieszczą się całe tłumy ludzi spragnionych butelki dobrego wina. Gęsty, szary dym rozciąga się nieprzeniknioną oponą po sali, przytłaczając oddechy pijących, a kiedy żywe światło gazu przedostanie się przez te gryzące chmury, można ujrzeć widok bardzo ciekawy i niezwykły.

Wszystkie twarze są tu blade, spojrzenia przyćmione. Możnaby sądzić, że się jest w palarni opium.

Niekiedy jednak błysk jakiś rozjaśni apatyę spojrzenia, jakieś usta zadrżą nerwowym skurczem i człowiek jakiś, chwiejący się na nogach, powstaje. Po chwili jednak chód nabierze pewności, życie powraca do zmartwiałej twarzy, krew uśpiona krąży żywo zaczyna w zgrubiałych żyłach. Człowiek ten patrzy ponuro z pod brwi krzaczastych, wyraz dzikiej zwierzęcości kryje się w zaciśniętych ustach. Płaci i wychodzi, nie zwracając uwagi na nikogo.

Takiego człowieka strzedz się powinien spokojny, łatwowierny burżuj paryski. Niema on spokojnego sumienia. W zadymionym kabarecie nabrał on nowych sił do swojego nocnego, niebezpiecznego procederu.

Inny znowu widok dają nam wyższe piętra domu.

Jest to może ten sam tłum, ale otoczenie inne. Z odosobnionych gabinetów dobiegnie od czasu do czasu wybuch krzykliwego śmiechu, dźwięk kieliszków i głosy rozbawionych mężczyzn, przeplatane bulwarową piosenką. I podczas kiedy tam, na pierwszem piętrze, wesoła piosenka dźwięczy coraz głośniej i swobodniej, kiedy szmery, dochodzące z dołu, zamierają w oparze trunków, obciążających zmęczone umysły, z jakiegoś tonącego w ciemnościach zaułka ulicy wzniesie się krzyk ostry i donośny i dobiegnie głuchy łoskot ciała upadającego na ziemię.

Często bardzo jest to bójka rywalów, niekiedy morderstwo. Bo trzeba pamiętać, że zbrodnia bezustannie krąży koło tych domostw wesołości i szału i zgubionym jest ten, kto pokazał lekkomyślnie sąsiadowi swojemu trzos wypchany złotem lub zabłysnął przed jego oczami ponętnym brylantem złotego pierścienia.

Sąsiad, to zazwyczaj jeden z tych, co przed chwilą w ponurem milczeniu powstał od wypróżnionej butelki wina i nie zwracając uwagi na nikogo, wyszedł na ulicę.

On dojrzał już wszystko! Więcej tu czasu tracić nie będzie. Pójdzie tam, gdzie oczekują na niego niecierpliwie.

Obraz ten, roztoczony teraz przed naszemi oczami, to jednak tylko obraz Paryża, uczeszczanego i znanego wszystkim, żyjącego pod ochroną policyi.

Ale co powiedzieć o tych norach strasznych, istnych śmiertelnych pułapkach dla ludzi.

W owej godzinie, kiedy spokojny mieszkaniec Paryża zasypia snem sprawiedliwego, życie w tych mordowniach wrzeć zaczyna w całej pełni.

A jaskiń tych, gdzie miękkie dywany tłumią rozmyślnie szelest kroków, gdzie stoliki do gry zastawione są w obfitości a wkoło krążą kobiety o bardzo podejrzanym wyglądzie, jest bardzo wiele.

Ten, który do nich lekkomyślnie zabłąka się, uczynił pierwszy krok do ruiny swojej i już iść będzie dalej szlakiem zbrodni, lub drogą prowadzącą do więzienia.

Czyż to życie, pełne niepokoju i gorączki, ten wieczny ruch, to podniecenie, które zauważyć można przy zbliżaniu się seryi zimowych zabaw, czyż to nie jest znakiem jakimś szczególnym, wskazówką?

„Tańczymy na wulkanie" — powiedział jeden z ministrów przed wybuchem rewolucyi.

Tańczymy ciągle bezustannie, bez zmęczenia, a wulkan nie wypalił się jeszcze.

Obok nas przewija się falami sztuczna wiosna, sztuczne światło, sztuczny rozum i dowcip.

A w głębi tego wszystkiego znajdziemy pustkę, nicość, ludzkość bez należytego pogłębienia, bez przekonania i wiary.

I podczas kiedy tłumy te, dotknięte szałem, obracają się jak nakręcone maryonetki w tumanie różnokolorowych światełek i kłamstwa, nie myśląc o dniu jutrzejszym, gdzież ukrywają się ci pionierzy przyszłości lepszej, jakie są ich marzenia, jakim tajemniczym, ukrytym pracom oddają się w cichości? Bo przecież żyją gdzieś, na jakimś cichym, zapadłym zakątku ziemi i sprawiedliwość jest z nimi.

Dla tych niezmordowanych poszukiwaczy, dla nich tylko jedynie, życie pogodne jest i spokojne, odgłos krzykliwych hałasów nie może ich dosięgnąć, zgiełk legł pokonany u ich stóp, a umysł ich, wolny od wszelkiej gorączki, bada niezgłębione słowo zagadki ludzkiej.

Niechaj ciała poruszają się w szalonym tańcu, niechaj gorączka przepala arterye ciał socyalnych. Jest to bez znaczenia.

Mózg myśli i pracuje! On to szuka i znajdzie tę przyszłość błogosławioną, którą duch przygotowuje dla zreformowanej ludzkości.

Don Lopez trwał długą chwilę w niemej kontemplacyi i całe światy myśli i wrażeń napływały do jego duszy, aby zamącić jej równowagę.

Kiedy oderwał się od tego wewnętrznego zapatrzenia się, twarz jego była bledsza, a głębsza zmarszczka żłobiła jego wysokie czoło. Potrząsnął głową silnym ruchem, jak gdyby chciał otrząsnąć się z ponurych myśli i powrócił do towarzystwa.

W salonie bezmyślna wesołość doszła już do najwyższego szczytu. Czas był najwyższy, aby dać znak do rozejścia się. Lopez więc przybył w samą porę.

Oktawiusz Gaudin leżał na kanapie paląc cygaro, otoczony kobietami, które usilnie zabiegały o jego względy.

Judytka zaś, wsunięta całem ciałem w głęboki fotel, flirtowała zawzięcie z obiecującym młodzieńcem ze złotym monoklem w oku, przewidując w nim rychłego następcę niewiernego przyjaciela.

Ujrzawszy Lopeza, Oktawiusz powstał i podszedł do niego.

— Jest to moja ostatnia noc zupełnej wolności — wyrzekł ujmując go za rękę — i wdzięczny panu jestem, żeś zechciał być świadkiem tej uroczystej chwili.

— Przynajmniej spędził pan tę noc wesoło — zauważył Lopez, uśmiechając się lekko.

Oktawiusz wzruszył ramionami Ujął Lopeza pod ramię i zaciągnął go do zacisznego kąta w salonie.

— Czy pan naprawdę sądzi, że jestem wesoły — zapytał szczególnym tonem.

— Wygląda pan przynajmniej na takiego, a to już wiele — odparł Lopez.

— To jest tylko maska.

— Jakto?

Oktawiusz uśmiechnął się.

— To szczególne jednak podjął po chwili — Znam pana tak mało, panie Lopez, a jednak wzbudza pan we mnie wielkie zaufanie.

— Pan zanadto łaskawy dla mnie — odpowiedział z lekką ironią Lopez.

— Nie... nie... Pan żył wiele, to się widzi i czuje. Posiada pan wielkie doświadczenie i znajomość ludzi i życia. Wyznaję panu z całą szczerością, że nie wiem jeszcze, czy nie popełnię wkrótce wielkiego głupstwa.

— Co znowu?

— Pana to dziwi?

— Zapewne.

— W dawnej mojej sytuacyi — mówił dalej Oktawiusz — czułem się zupełnie szczęśliwy.

— Cóż z tego wynika?

— To, że obawiam się, że stan ten się zmieni, kiedy tę sytuacyę zamienię na inną.

— Doprawdy! — zawołał don Lopez, przyglądając się bacznie narzeczonemu Sylwii.

— Czyż to nie szaleństwo z mojej strony, to dążenie do zmiany? Jak się panu zdaje?

— Może.

— Niech mi pan na to odpowie szczerze — nalegał młody człowiek, podając rękę Lopezowi.

Ten zastanowił się chwilę.

— Jeszcze nie ma nic straconego — odezwał się po chwili — przecież się pan jeszcze nie ożenił.

— Ale pragnę tego.

— Kto wie!

— Pan w to wątpi?

— Należy zawsze na początku wątpić o każdej rzeczy, aby później być dobrze przekonanym, że się w coś przecież wierzy — wyrzekł Lopez poważnie.

— Czy to jest pana sposób zapatrywania się?

— Tak. Stosuję go dotąd dosyć szczęśliwie i nie pomyliłem się na nim.

— Do dyabła! — zaśmiał się Oktawiusz. — Należy pan widocznie do ludzi silnych.

— Robi się co można, mój przyjacielu, a najlepszym jeszcze sposobem jest robić to, co się powinno.

— Czy sądzi pan, że jakaś nieprzewidziana i nagła okoliczność może wpłynąć na zerwanie mojego małżeństwa z panną Sylwią de Compans?

— Obawiam się tego.

— Ależ to niemożliwe! — obruszył się Oktawiusz niespojnie — to niemożliwe!

— Wszystko jest możliwe na świecie, bo wszystko zależy od ślepego przypadku.

— Niech się pan jaśniej wytłumaczy, proszę — rzekł Oktawiusz niepewnym głosem.

Lopez miał zamiar odpowiedzieć, ale w tej chwili do salonu weszła służąca. Trzymała list w ręce i podeszła z nim do swojego pana.

— List — szepnął Gaudin, wstrząsając się mimowoli. — List do mnie, co to ma znaczyć?

Drżącemi rękami ujął kopertę. Zaadresowana była ręką kobiecą. Gaudin rozerwał ją szybko i zaledwie rzucił spojrzenie na pismo, kiedy lekki okrzyk wybiegł z jego piersi.

— Co się stało? — zapytał Lopez.

Oktawiusz spojrzał na niego z przerażeniem.

— Czy pan jest czarodziejem?! — wyszeptał z trudem. — To szczególne.

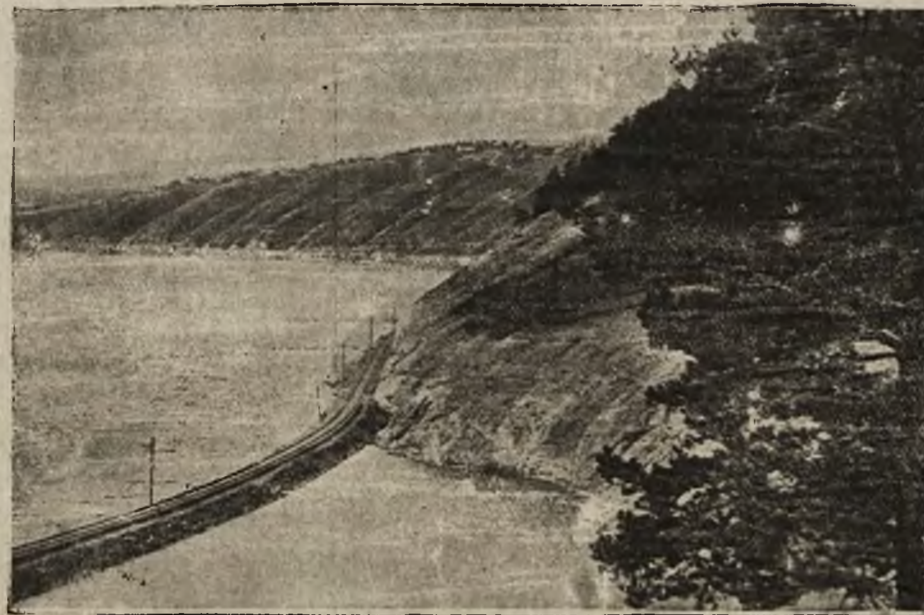
— Skąd to pytanie? — zapytał don Lopez, przybliżając się do niego żywo.

— Bo ten nieszczęsny list zgadza się z przepowiednią, którą pan wygłosił przed chwilą.

— A więc zaszła jakaś przeszkoda do zawarcia małżeństwa pana, czy tak?

**(Ciąg dalszy nastąpi.)**





Pochód Japończyków na Syberyę:

Osada kirgizka na stepie syberyjskim.

Część linii kolejowej syberyjskiej przecinająca pasmo gór Uralskich.

## Pochód Japończyków na Syberyę.

Gdy po pogromie Rosyi można było przypuszczać, że wojna dobiega końca, na widownią jej — jeśli wierzyć doniesieniom prasy — ma wypłynąć nowy czynnik, egzotyczny wprawdzie lecz potężny — Japonia!

Wedle wiadomości, które „Telegraphen Union" przynosi z Irkucka, Tobolska i Władywostoku, rząd japoński czyni już od szeregu miesięcy przygotowania do akcyi na Syberyi. Od listopada ubiegłego roku japońskie, amerykańskie, tudzież angielskie okręty przywożą materyały wojenne do Władywostoku.

Według ostatnich wiadomości jakie nadeszły z Petersburga do Władywostoku Japończycy rozpoczęli już techniczne przygotowania do pochodu w głąb Syberyi.

Tysiące robotników chińskich pracuje dniem i nocą nad budową nowych linii kolejowych.

Jak niektórzy przypuszczają, przygotowania te mają na celu nie tylko opanowanie Syberyi i zabezpieczenie jej bogactw naturalnych przed ewentualnym zamachem ze strony Niemiec, ale wogóle odbudowanie frontu wschodniego, zniszczonego przez rozkład armii rosyjskiej i anarchię, która ogarnęła całą Rosyę. Ze względu na olbrzymią odległość podstawy operacyjnej, jest to jednak zadanie, wkraczające w sferę fantazyi. Bo weźmy tylko pod uwagę linie etapowe, któreby ciągnąć się od brzegów Oceanu Wielkiego aż do środka Europy! Musianoby przytem uruchomić całą kolej transsyberyjską, od Władywostoku aż do gór uralskich. Musiałaby być na niej przywrócony ruch, którýby odpowiadał potrzebom na taką skalę zamierzonej wojennej wyprawy. Musiałby być uspokojony kraj na całej tej przestrzeni. Musiałby być dostawiony olbrzymi park kolejowy, któryby sprostał olbrzymim zadaniom. Słowem trzebaby naprawić wszystko, czego zaniedbała sama Rosya i co właśnie przyczyniło się do klęski armii rosyjskiej na polu walki. Te przygotowania systematyczne do podjęcia nowej wyprawy od wschodu wymagałyby w każdym razie czasu niezmiernie długiego. Jeśli więc miałyby się sprawdzić przewidywania co do japońskiej interwencyi w Europie, otwierałaby się miła perspektywa, że wojna potrwa jeszcze lata! Byłby to nowy jej okres pod znakiem... żółtego niebezpieczeństwa... Wśród tylu niespodzianek, jakie zgotowała nam obecna wojna, trudno dziś przesądzać, co jest możliwością a co fantazyą...



Pochód Japończyków na Syberyę: Ulica w Charbinie, obecnej stolicy republiki syberyjskiej



W dawnej siedzibie wojsk jenerała Muśnickiego: Jeden z głównych placów w Mińsku, ochrzczony przez Niemców „placem pokoju". (Fot. Bula)



Konferencye „aktywistów" warszawskich: Adam hr. Ronikier, który w Berlinie i w Wiedniu odbył szereg konferencyi w sprawie polskiej.

# Kronika tygodniowa.

Pisanie kroniki tygodniowej nie jest dziś bynajmniej rzeczą ani zbyt łatwą ani też przyjemną, gdyż każdy tydzień tak jest podobnym do swego poprzednika, iż dobrze sobie trzeba nałamać głowę i porządnie drapać się po łysinie, nim się stamtąd coś nowego wydrapie.

Gdyby jeszcze można było pisać o sytuacyi politycznej, ale tak, jak się tego może pragnie, sprawa byłaby załatwioną, w ubiegłym przecież tygodniu wytłumaczyłem się, dlaczego nie chcę i nie mogę puszczać się na niepewne fale głębokiej polityki, w której bardzo łatwo można utonąć.

Ale Pan Bóg łaskawy widocznie i na Mazury, nie tylko dla Ukraińców!

Gdy w bieżącym tygodniu biłem się z myślami od czego mam zacząć obecną kronikę, piątą, jeśli się nie mylę, w szeregu wielkopostnych, (a biłem się tak energicznie, ze do dnia dzisiejszego zostało mi jeszcze kilka siniców, nie będących jednak następstwem ia kiegoś, jakby kto może przypuszczał, nieporozumienia małżeńskiego...) oddano mi trzy kartki korespondencyjne od Czytelników i Czytelniczek zwracających się do kronikarza z rozmaitemi boleściami.

Na cudzą boleść jestem zaś bardzo czuły i chętnie ją z drugim, a tembardziej z drugą dzielę, od odpowiedzi więc na nie zazwyczaj, bojąc się, by przypadkowo, pozostawiam na sam koniec, nie spotkały się z oświadczeniem pana metrampaża, że „brak miejsca“.

Od porządku, wyznaczonego w gramatyce, odstępuję i daję pierwszeństwo rodzajowi żeńskiemu.

Jedna z Czytelniczek zwraca się za pośrednictwem kronikarza do redakcyi *Nowości illustrowanych*, wyrażając swe ubolewanie, iż w każdym numerze pisma spotyka się z ogłoszeniami firm niemieckich (wiedeńskich) tak, jak gdyby polskich nie było.

Przyznaję jej najzupełniejszą racyę, ale muszę też dodać słów kilka *pro domo sua*. Firmy polskie są, to prawda, ale cóż my temu jesteśmy winni, jeśli się one w żaden sposób nie chcą ogłaszać, choć nie musi to być tak złem, skoro nie zapominają o tem firmy niemieckie. Trzeba zaś pamiętać, że kwestya ogłoszeń jest dla każdego wydawnictwa bardzo poważną rubryką dochodów i ona właśnie przyczynia się, a raczej przyczynić powinna, do pokrycia lwiej części kosztów współpracownictwa, papieru, druku itd., których samą prenumeratą, lub kwotą uzyskaną ze sprzedaży pojedynczych numerów, opędzić się nigdy nie potrafi.

Prawda, że dziś dla naszego handlu i przemysłu nastały bardzo ciężkie czasy, ale też również prawdą jest, że nasi kupcy i przemysłowcy znaczenia uczciwej reklamy nigdy nie rozumieli lub też rozumieć nie chcieli, uważając to za wielką łaskę ze swej strony, jeśli który zdecydował się kiedy na danie ogłoszenia i to jedynie pod warunkiem, aby to wiele nie kosztowało. W ostatecznym wypadku, gdy się już którego zdołało nakłonić do takiej, według jego zdania, „lekkomyślności“ i niepotrzebnego zgoła wyrzucenia pieniędzy, domagał się jeszcze, by cenę inseratu mógł zapłacić nie w gotówce, ale swym towarem, bez względu na to, czy wydawca go potrzebuje, czy nie.

Jakże zupełnie inaczej wyglądają pisma wydawane na Zachodzie, choćby tylko we Wiedniu, gdzie więcej niż połowę numeru zajmuje część reklamowa i ogłoszeniowa, pokrywająca z nadwyżką koszta wydawnictwa. W takich warunkach można myśleć o wprowadzeniu ulepszeń, zniżeniu prenumeraty i innych, tym podobnych świadczeniach na rzecz Czytelników, ale nie u nas, gdzie się z reguły nie docenia wartości ogłaszania się w pismach, zwłaszcza swoich, gdyż każdy interesant chętniej da swój inserat do obcego pisma, wychodząc z założenia: „Niech się o mnie dowie i zagranica!... Kto będzie chciał u mnie kupić, ten mnie znajdzie, nie potrzebuję się reklamować, gdyż mój towar sam się chwali!...“

Ale to jest dość prowincyonalne pojmowanie sprawy, czego dowodem właśnie owe firmy zagraniczne, które wiedzą bardzo dobrze, że każda korona, wydana na uczciwą reklamę, wraca się stokrotnie. Każdy, biorąc do ręki pismo codzienne, czy też peryodyczne i czytając ogłoszenia, natrafi przecież na takie, które go zainteresuje i powie sobie: „Warto spróbować“. I pójdzie i kupi, a potem jeszcze i drugiego zachęci, by uczynił tak samo.

Mam tu na myśli naturalnie tylko uczciwą reklamę, to jest podawanie w ogłoszeniu faktycznego stanu rzeczy, nie jakowychś tam szumnych obiecanek, w guście owych „sześciuset praktycznych przedmiotów za trzy korony“, na które ludzie nieraz na lep się biorą. Ale temu także dziennik nie winien, lecz tylko ów niesumienny spekulant, znający wartość ogłaszania się i nie żałujący na ten cel monety.

Ogłaszać się więc, jak z tego widać, warto, a robi się w ten sposób dobrze nie tylko samemu sobie i swemu przedsiębiorstwu, ale pośrednio przyczynia się i do poparcia dziennikarstwa, od którego można wówczas wymagać, aby ono stanęło na tym stopniu rozwoju, na jakim widzimy pisma zagraniczne.

Nieraz się słyszy utyskiwania, że, dajmy na to, ryciny w *Nowościach illastrowanych* nie mogą nawet iść w porównanie z obrazkami w lipskiej illustracyi, lub choćby w wiedeńskich tygodnikach, ale z zasady zapomina się o tem, w ilu tysiącach egzemplarzy rozchodzą się tamte publikacye i ile kroć tysięcy, a nawet milionów zbierają rocznie za ogłoszenia.

U nas, niestety, dzieje się zupełnie inaczej. Każdy czytałby chętnie i chciałby, aby tego było i dużo i było bardzo ładne, ale stawia jeden tylko mały warunek: aby go to, broń Boże, przypadkiem nie kosztowało! Dowiedzioną jest rzeczą, że w tym kierunku najsroższymi krytykami są ci, którzy pisma nie prenumerują, ale czytają je w kawiarniach lub pożyczają od znajomych.

W takich warunkach i przy takiem poparciu ogółu o rozwoju polskiego dziennikarstwa ani mowy być nie może i bynajmniej nie powinno się wyrażać oburzenia, ani nawet zdumienia, jeśli się w polskiem piśmie spotka ogłoszenie obcej firmy, dział bowiem inseratowy jak powtarzam, to najpoważniejsza rubryka w budżecie każdego wydawnictwa. Zbyt przebierać, zwłaszcza w tych ciężkich czasach, gdy ceny wszystkiego tak gwałtownie podskoczyły, nie można, musi się wychodzić ze założenia, że „na bezrybiu i żaba rybą“. (Dawniej mówiono „rak“, dziś musimy być zadowoleni, jeśli mamy... żabę!..).

A że tak jest, a nie inaczej, temu winno tylko samo społeczeństwo, które wobec tego wyrzutów nam czynić nie powinno i nie może.

Zupełnie to samo odpowiedzieć się musi na zarzut, że nie zamieszczamy powieści pióra naszych wybitnych autorów. I w tym wypadku przyznaję racyę Szan. Interpelentce, ale, powołując się na to, co wyżej, prosiłbym o wskazanie źródła skąd wziąć na to?... Darmo nic się nie dostanie, prawo drukowania powieści kosztuje więcej, niż sobie ktoś niefachowy wyobraża, a wydawnictwo *Nowości illustrowanych* robi już wiele, zamieszczając na swych łamach z zasady jedną powieść oryginalną, a tylko drugą tłumaczoną.

Niechaj jednak każdy z malkontentów zaagituje w kołach swych znajomych, by *Nowości illustrowane* mogły mieć bodaj sto tysięcy prenumeratorów (nie gratisowych czytelników!...) a dział ogłoszeniowy zajął w każdym numerze bodaj z dziesięć kartek, wówczas pokażemy, co potrafimy, bo będzie nas stać na to, na razie zaś musimy się liczyć z tą przykrą rzeczywistością, że pierwszym warunkiem racyonalnego prowadzenia jakiegoś przedsiębiorstwa, więc i wydawnictwa, jest postaranie się o to, by... związać koniec z końcem.

O to zaś, zwłaszcza dziś bardzo trudno i jeśli się doprowadzi do tego, by dochody pokryły wszelkie wydatki, a jako zysk pozostało piękne, okrągłe zero, musi się być zadowolonym i mówić, że „rok był nie najgorszy!...“

Mamy przecież nadzieję, że po wojnie to się poprawi.

Druga kartka pochodząca od przedstawiciela rodzaju męskiego zawiera również narzekania, iż podwyższyliśmy cenę prenumeraty i zmniejszyli objętość pisma.

Że tak jest w samej rzeczy, przekonałem się o tem na swe własne oczy. Stało się więc zupełnie to samo, co z owym restauratorem, który podniósł cenę potraw, równocześnie zmniejszając ich wielkość.

Dlaczego on tak postąpił, tego nie wiem, gdyż restauratorem nigdy dotąd nie byłem, nas zmusiła do tego przykra konieczność.

Przedewszystkiem nie uczyniliśmy tego równocześnie, ale najpierw podnieśliśmy ceny, i to bardzo stosunkowo nieznacznie, wyłuszczając dokładnie, w jak ciężkich się obecnie wydawnictwo znajduje warunkach, gdy ceny niektórych niezbędnych artykułów, dajmy na to choćby cynku na klisze i chemikaliów, potrzebnych do ich trawienia, doszły niejednokrotnie ceny kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt razy większej, niż normalne, przedwojenne!... Cóż my jesteśmy temu winni, że tych samych rzeczy potrzebuje Mars do prowadzenia swego interesu i zabiera je bez pardonu Muzom z przed nosa?... A one słabe niewiasty, muszą się na to zgodzić, bojąc się, by ich w razie oporu nie pociągnięto do świadczeń wojennych. Wystarczy powiedzieć, że cynk, który w całej ilości zajęła wojskowość, kupuje się dziś prawie na wagę złota i to w takim gatunku, jakim dawniej nie zdecydowałby się nikt nawet kryć dachu!.. I jeszcze trzeba być zadowolonym, że się taki dostało.

Objętość pisma, na czem część literacka i illustracyjna prawie zupełnie nie ucierpiała, zmniejszyliśmy dopiero w ostatnim czasie, gdy o papier coraz trudniej. Kierowaliśmy się w tym względzie myślą, że lepiej dawać mniej, a dłużej, niż wyszastać się odrazu, a potem nagle urwać. W ten sposób może nam się uda jakoś przetrzymać do końca. Gdyby stało się przeciwnie, wtedy dopiero miałby Sz. Korespondent słuszny powód do narzekania.

Jak zaś o papier trudno, niech tego będzie dowodem moje własne doświadczenie. Za arkusz zwykłego papieru kancelaryjnego, jaki przed wojną nabywało się po trzy arkusze za centa, dziś płaci się sześć halerzy, a kupiec powiada jeszcze, że odstępuje tylko po znajomości, gdyż zapasy już wysprzedał, a fabryki stoją.

Dawniej pisywałem kronikę na papierze ministeryalnym (inaczej drukarze nie chcieli jej składać!..), dziś jestem kontent, że mam taki a i tego wkrótce jak powiadają, braknie. Od wartości papieru zależy zaś i jakość kroniki, ilekroć bowiem spojrzę na kartkę, leżącą przedemną (pisać z zamkniętemi oczami dotąd nie umiem...) i przypomnę sobie, że za tę bibułę zapłaciłem aż sześć halerzy, żal serce ściska, humor ulatuje, a z serca i ust dobywa się westchnienie:

— Oby ta wojna już się raz skończyła!

Na trzecią kartkę, zaczynającą się od słów pochwały, iż ładnie i dobrze napisałem o pannie Onyszkiewiczu nie mogę na razie nic odpowiedzieć, pismo bowiem tak jest niewyraźne, iż w żaden sposób odcyfrować jej nie potrafię, a nasz redakcyjny grafolog wyjechał właśnie na czas dłuższy i niewiadomo, kiedy powróci.

Martwiłem się, nie wiedząc, od czego mam kronikę zacząć, teraz jestem znów w kłopocie, czem ją zakończyć, gdyż dotąd właściwie żadnego jeszcze aktualnego tematu nie poruszyłem.

Najaktualniejszym, sądzę, będzie chyba rozdział o chlebie i połączonem z nim żółtem niebezpieczeństwie, na które proszę się jednak nie zapatrywać w zbyt czarnych kolorach, gdyż nie jest ono tem, co każdy z Czytelników ma w tej chwili na myśli.

Chciałem tylko zaznaczyć, że ubiegły tydzień zaznaczył się znowu brakiem chleba, gdyż mąka, jak zwykle nie nadeszła ani z tej, ani z tamtej strony. Ukraińska ma być podobno, ale dopiero... w maju. Tak głosi zapewnienie urzęd we wiadomo zaś, co oznacza w gwarze ludowej wyrażenie „w maju“.

W jakim zaś stosunku stoi z chlebem owo żółte niebezpieczeństwo, zaraz to postaram się wytłumaczyć. Niechaj jednak nikt nie myśli, że ma ono jakiś związek z polityką. Broń Boże!... Dałem sobie przecież słowo, że jej nie poruszę, chyba... Ale na to „chyba“ jeszcze czas nie nadszedł! Nie rozchodzi się tu bynajmniej o Japończyków, Chińczyków, lub innych przedstawicieli rasy żółtej, którymi nas teraz zaczynają tak straszyć, jak dawniej dzieci kominiarzem, tylko o żółte niebezpieczeństwo zupełnie wewnętrzne, nie zaś zewnętrzne.

Rozchodzi mi się jednem słowem o chleb, którego na razie wprawdzie niema, ale gdy będzie, użyje się do jego wypieku pewnego procentu mąki kukurudzianej, prócz innych domieszek, o których się nie mówi, tembardziej zaś nie pisze. W miarę jak przednowek będzie się stawał coraz cięższy, zwiększać się będzie i owa procentowa domieszka mąki kukurudzianej, aż dojdzie wreszcie do tego, iż wyruguje zupełnie mąkę, dotąd do wypieku używaną. Chleb ów stawać się będzie zatem z dniem każdym coraz to żółciejszym.

Potem nadejdzie czas, iż ów procentowy dodatek mąki kukurudzianej zacznie się stopniowo zmniejszać, zwiększą się zaś owe inne dodatki, o których się nie mówi i nie pisze, aż wreszcie i one wyrugują zupełnie mąkę kukurudzianą, a chleb z żółtego stanie się coraz bardziej szarym, przypominającym, dajmy na to... trociny.

I to właśnie żółknięcie stopniowe chleba, a potem powolną utratę owej kanarkowej barwy nazywam „żółtem niebezpieczeństwem“. Stanie się ono niem zaś dopiero naprawdę, gdy ów żółty kolor zupełnie zniknie, a zastąpi go szary. Jeśli od tej chwili do przyszłych zbiorów nie upłynie wiele czasu, to jeszcze pół biedy, gorzej będzie jeśli ten okres potrwa bodaj ze dwa miesiące, chyba, że otrzymamy to, co mieliśmy dostać w maju.

To więc, jak chyba każdy przyznać musi, żółte niebezpieczeństwo, o którem wyżej mowa, jest stokroć groźniejsze od owego, jakie nam grozić może od skośnookich synów Wschodu. Z nimi, jeśli miałoby przyjść do czego, jakoś sobie damy już radę, nikt przecież nie poradzi, gdy maciek zacznie mruczeć i upominać się o swe prawa.

# Z tygodnia.

## Odwrót w sprawie Chełmszczyzny.

C. k. Biuro korespondencyjne donosi:

W dniu 4 marca został spisany w Brześciu przez pełnomocników mocarstw czworprzymierza i ukraińskiej republiki ludowej następujący protokół, zapowiedziany przez prezydenta ministrów w Izbie posłów dnia 9 lutego:

Ponieważ powstały wątpliwości w sprawie komentowania p. 2 art. II układu pokojowego, zawartego dnia 9 lutego b. r. w Brześciu między Niemcami, Austro-Węgrami, Bułgaryą i Turcyą z jednej strony, a ukraińską republiką z drugiej strony, postanowiły rządy tych państw usunąć te wątpliwości przez oświadczenia uzupełniające i polecily dlatego swoim pełnomocnikom, wysłanym do rokowań pokojowych z Rosyą do Brześcia, oświadczyć co następuje: „Dla uniknięcia nieporozumienia przy komentowaniu p. 2 art. II układu pokojowego z dnia 9 lutego b. r., zawartego w Brześciu między Niemcami etc., stwierdza się, że przewidziana w układzie komisya dla ustalenia granicy nie jest związana linią graniczną, idącą przez miejscowości Biłgoraj, Szczebrzeszyn, Krasnostaw, Puchaczów, Radzyń Międzyrzecze, Sarnaki, lecz ma prawo, na podstawie p. 2 art. II tego układu pokojowego, poprowadzić, stosownie do stosunków etnograficznych i życzeń ludności, granicę także na wschód od linii Biłgoraj etc. Odnośna komisya będzie utworzona z przedstawicieli państw, które zawarły układ i z przedstawicieli Polski. Każda z tych stron wyśle po równej liczbie delegatów do komisyi. Państwa te porozumią się, w jakim czasie ma się ta komisya zebrać.

## „Ukraińskie zapasy".

„Der Abend" donosi z Berlina:

Radca rządu Zinnern, przydzielony do komisyi państwowej dla spraw żywnościowych, oświadczył na wykładzie, że na Ukrainie większych zapasów zboża ze żniw dawniejszych prawie niema. Należałoby ściągać tedy zboże ze wsi, co jednak może nastąpić dopiero po przywróceniu uporządkowanych stosunków. Przed czerwcem nie można się spodziewać żadnego dowozu, ale i wtedy liczyć się należy z trudnościami transportowemi.

## Cesarz Wilhelm księciem Kurlandyi.

Jak donosi c. k. Biuro korespondencyjne z Berlina, podczas przyjęcia deputacyi kurlandzkiej Rady krajowej przez kanclerza państwa, podsekretarz Radotitz odczytał odpowiedź na znaną uchwałę tej Rady. Odpowiedź ta brzmi:

Jego Cesarska Mość ze szczególną radością i wzruszeniem usłyszał prośbę Rady co do przyjęcia książęcej korony kurlandzkiej przez cesarza. Najwyższa decyzya podana będzie Radzie do wiadomości po wysłuchaniu kół, powołanych do współdziałania. Z żywą radością i zadowoleniem Jego Cesarska Mość widzi, że życzenia Rady krajowej zwracają się w kierunku ściślejszego połączenia księstwa z państwem niemieckiem. Spełnieniu tego życzenia nie stoi nic w drodze. Jego Cesarska Mość polecił mi, bym w imieniu państwa niemieckiego uznał wskrzeszone księstwo kurlandzkie za wolne i niezawisłe księstwo i zapewnił je o opiece i pomocy państwa niemieckiego przy odbudowie jego konstytucyi i ustaleniu i sformułowaniu postanowionego przez Radę połączenia z państwem niemieckiem.

* * *

Zaznaczyć tu należy, że wspomniana wyżej Kurlandzka Rada krajowa składa się prawie z samych Niemców (95 proc.) podczas gdy ludność Kurlandyi liczy 48 000 Niemców na przeszło 500 000 Łotyszów.

## Ameryka uznaje komitet polski.

Chicagowska „Frez Poland" ogłasza następujący list Lansinga do Paderewskiego:

„W przypuszczeniu, że zechce Pan opublikować uznanie Polskiego Komitetu Narodowego przez rząd amerykański jako polskiej oficyalnej organizacyi, donoszę Panu uprzejmie, że dnia 19 października ambasador amerykański w Paryżu przysłał prośbę p. Dmowskiego, prezydenta rzeczonego Komitetu, by Stany Zjednoczone uznały ten Komitet za oficyalną polską organizacyę. Dnia 10 listopada 1917 miałem zaszczyt donieść ambasadorowi amerykańskiemu w Paryżu o przyjęciu żądanego uznania przez rząd Stanów Zjednoczonych.

## Z kroniki żałobnej.

W Wiedniu zmarł w tych dniach inspektor szkół ludowych fundacyi barona Hirscha, okręgu kołomyjskiego, Wilhelm Grüner. Jako założyciel pierwszych szkół fundacyjnych na wschodnich kresach Galicyi, zasłużył się Zmarły w szczególności około ich organizacyi i rozwoju. Łącząc w sobie niezrównany talent organizacyjny i twórcze zdolności potrafił on



Z kroniki żałobnej: Inspektor Wilhelm Grüner.

zyskać sobie nietylko miłość młodzieży i wdzięczność jej rodziców, ale także stanowcze uznanie ze strony bezpośrednich swych władz przełożonych, jakoteż czynników krajowych i rządowych. Z okazyi jubileuszu cesarskiego w roku 1908 został on odznaczony złotym krzyżem zasługi z koroną.

Zmarł w 54 roku życia po 33 letniej żmudnej, sumiennej pracy zawodowej i po długoletniej pracy kulturalnej około podniesienia umysłowego ludności żydowskiej w kraju naszym i pojednania jej z kulturą zachodnią.

## Odpowiedzi Redakcyi.

*Czytelniczce z Jarosławia.* List Szan. Pani jest o tyle chwalebny, że świadczy o uczuciach, które ożywiają zarówno nas, jak i cały naród polski. Te uczucia jednak nie powinny sprowadzić nas na bezdroża... nonsensów. A takim nonsensem byłoby właśnie, gdyby prasa nie informowała o najważniejszych pod względem politycznym wydarzeniach dlatego jedynie, że są dla nas niesympatyczne. To też dzienniki poświęcają całe szpalty opisów i artykułów poświęconych wypadkom na Wschodzie, a tygodnik nasz, spełniając wszechstronnie swe zadanie, ilustruje te wypadki najautentyczniejszymi dokumentami bo fotografią. Czytelnik polski zresztą nie może w czasach wielkiej wojny światowej ograniczać swego zainteresowania jedynie do wydarzeń rozgrywających się w Krakowie, Lwowie czy... Jarosławiu. Interesuje się niewątpliwie wszystkiem, co się dzieje na całym świecie, w związku z obecną chwilą dziejową, bez względu na to, czy widzi rzeczy sympatyczne, czy przykre i bolesne. A lepiej, że to zainteresowanie może zaspokoić lekturą pism i tygodników polskich zamiast uciekać się w tym celu — co niestety jeszcze dziś się dzieje — do niemieckich, często hakatystycznych „blatów".

## Głosy publiczne.

**„Album wojenne 56 p. p.".** Otrzymujemy następujące pismo: Pięćdziesiąty szósty pułk piechoty wydaje na pamiątkę udziału pułku w tej wojnie światowej wspaniałe, bardzo bogato illustrowane dzieło pod tytułem **„Album wojenne 56 p. p.".**

Chcąc, aby dzieło to było o ile możności wiernem odbiciem przeżyć naszego pułku, upraszamy wszystkich, tak oficerów, żołnierzy 56 p. p., jak i rodziny tychże o łaskawe nadsyłanie wszystkiego, co mogłoby nasz „Album" uzupełnić, a więc fotografii członków pułku, również i tych, którzy bądźto polegli, bądźto dostali się do niewoli, dalej pamiętników, notatek, wszelkich zdjęć, odnoszących się do naszego pułku, słowem wszystkiego, co może znaleźć pomieszczenie w tem dziele.

Adres Wydawnictwa: „Album wojenne 56 p. p.", Kielce. Zaznaczamy, że wszelkie nadesłane przedmioty zostaną właścicielom nieuszkodzone z podziękowaniem zwrócone.

## Z półek księgarskich.

**Dwie nowe polskie powieści.** Pomimo coraz cięższych warunków wydawniczych, bieżący sezon księgarski obfituje w liczne nowości z działu literatury pięknej. Nakładem Literackiego Instytutu Wydawniczego „Lektora" we Lwowie ukazały się świeżo dwie oryginalne powieści polskie, a to: „Krzyk" Stanisława Przybyszewskiego, i „Dyabelska przełęcz" Henryka Zbierzchowskiego. Oba te nazwiska, a szczególniej pierwsze z nich, mówi samo za siebie i zapewnia wziętość książce. Tutaj notujemy tylko, że obie książki zostały wydane bardzo wytwornie z portretami twórców i kolorowemi okładkami. Okładkę „Krzyku" malował znany artysta malarz W. Błocki, zaś okładkę powieści Zbierzchowskiego prof. L. Kwiatkowski. Frapującą inowacyą w książce Przybyszewskiego jest jego autoportret literacki, w którym twórca sam oświetla swoją działalność i życie, a który pozostanie niewątpliwie wartościowym dokumentem dla historyków literatury naszej. Wstęp do „Dyabelskiej przełęczy" napisał dr. A. Fiszer.

## Od Administracyi.

**Zawiadamiamy naszych P. T. Prenumeratorów i Komisantów, iż numerów „Nowości Illustrowanych" 51 z roku 1917 i nru 1 i 2 z roku 1918 nie posiadamy. W miarę otrzymywanych zwrotów, będziemy powyższych numerów dostarczali.**

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.